



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

DO ZIEMI NIEZNANEJ

przed czterystu laty.

Zygmusiowi Matuszewskiemu poświęca
tę pracę Halina Tokarzevska.

Różowo złociste blaski świtu sływały na wspaniałe gmachy Grenady, na Alhambrę, przepyszną rezydencję kalifów maurytańskich i domy sąsiedniego miasteczka Santa Fé. Wiatr, niezwykle w tej porze roku łagodny i ciepły, od maurytańskiej stolicy niósł echa smętnych szmerów i żałosnych jęków, które wprędce głużyły dźwięki trąb rycerskich i radosne okrzyki tłumów zebranych w dolinie, u splywu rzek Xenil i Darro.

Pośród tych tłumów, złożonych z ludzi należących do rozmaitych warstw społeczeństwa, zwolna kroczył poważny zakonnik, franciszkanin, któremu towarzyszył dwudziestoletni młodzieniec wysoki, wysmukły, o pięknej ogorzalej twarzy i czarnych, ognistych oczach. Aczkolwiek ubrany był w szaty z tkaniny ciemnej i niekosztownej i nie miał miecza u boku, wszelako z dumnego podniesienia głowy, z ruchów swobodnych, z całego obejścia młodzieńca znać było, że jest to „hidalgo” czyli szlachcic możny, dostojnego rodu i do rozkazywania nawykły rycerz. Nie zważał on bynajmniej na lud który ustępował mu z drogi z uszanowaniem, lecz natomiast uważnie i z widocznym zajęciem słuchał swojego towarzysza.

— Przez siedmset lat Maurowie, niby na własnej ziemi gospodarowali w Hiszpanii — mówił zakonnik — przez siedmset lat chorągiew Mahometa powiewała nad głównymi grodami Hiszpanii; dziś — z ostatniego już miasta ustępuje przed godłem Odkupienia. Ferdynand III święty, od r. 1217 do 1252 wojując pomyślnie z Maurami, odebrał im Kordubę, Sewillę i Kadyx; Alfons XI odzyskał Algesirę w Andaluzji; dziś, kiedy za sprawą mężnego wodza Gonzalwa z Korduby



Krzysztof Kolumb.

odzyskaliśmy Grenadę, niewierni ostatnią stracili stolicę. — O tak, mój synu! w dniu dzisiejszym, w dniu 6 stycznia 1492, święcimy jeden z najświetniejszych tryumfów chrześcijańskiego oręża! Zakonnik pochylił głowę i przeżegnał się, młodzieniec uczynił podobnie, i po krótkim milczeniu przemówił:

— Bez wątpienia, mój ojczec, to też prawdziwy żal ściska moje serce, że w walkach z Maurami pod sztandarem Gonzalwa z Korduby nie brałem udziału.

— Pocóżes wyjeżdżał do Francyi?

— Ach, po co? Przynależem wyznać ci to kiedyś, mój ojczec, a tymczasem powiedz mi łaskawie, czy to czarnoksiężka jakaś potęga, tuż pod murami Grenady wzniosła miasteczko Santa Fe? Nie było go przecież, kiedy wyjeżdżał do Francyi.

— Nie czarnoksiężskie moce, jeno wytrzymałość chrześcijańska tak szybko zbudowała to miasto, mój synu — odpowiedział franciszkanin. — Otóż widzisz stało się tak: przeszłego lata król z dostojną swą małżonką, Izabellą, i całą swoją rodziną, przebywał pod Grenadą w obozie Gonzalwa z Korduby. Pewnej nocy w obozie powstał ogień. Spłonęły namioty królewskie i wiele innych namiotów w pobliżu, spłonęło dużo broni, sreber i kosztowności i kilkudziesięciu ludzi w tym pożarze ciężkie poniosło rany. Aby zapobiedz na przyszłość podobnym wypadkom, za radą dony Izabelli postanowiono zrobić dla wojska trwalsze od namiotów siedziby. Architekt wnet zrobił plany miasta, a lud i rycerze wznosili mury, przy tej budowie dniem i nocą pracując, bez wytchnienia, bez przerwy, mimo skwarów letnich i chłódów jesieni. Nadano miastu temu nazwę Santa Fe *) na pamiątkę tego uczucia, które do pracy zagrzewało chrześcijan i dopomogło im do zwycięstwa nad niewiernymi.

— Ciekawych rzeczy dowiaduję się od ciebie, mój ojczec.

— Dowiesz się zaraz, jeszcze dziwniejszych i równie zajmujących!... Spojrz na lewo, mój synu, i przypatrz się temu mężczyźnie, który stoi opodal, na skraju łąki, przy zakręcie Darro, u podnóża „Pagórka Męczenników”. Wysoki jest, ma szaty biedaka, a minę i postać hidalga. Czy widzisz go?

— Widzę, mój ojczec. Cóż to za jeden?

— Cudzoziemiec, genueńczyk, Christobał Colon, Krzysztof Kolumb, jak go powszechnie nazywają u nas. Z powołania żeglarz, geograf który rysowaniem map zarabia na utrzymanie. Od siedmiu lat przebywa w Hiszpanii i twierdzi, że gdyby dano mu okręt, to płynąc Oceanem Atlantyckim na zachód, odkryłby krańce Indyi i owe przebogie państwo wielkiego Chana i wyspę Cipango, o której tyle cudów opowiadał Marco Polo. Utrzymuje też Krzysztof Kolumb, że ziemia ma kształt kulisty...

— To jakiś narwaniec! — śmiechem wybuchnął młodzieniec.

— Hola! młodzieńcze, nie szafuj tak przezwiskami i nie potępiaj ludzi starszych i doświadczonych — surowo zgromił zakonnik. Nasi uczeni utrzymują, że ziemia jest długą płaszczyzną, my podzielamy to zdanie; wszelako ten Kolumb na poparcie swoich przypuszczeń przytacza racje bardzo przekonujące. W podróży swoich zauważył on, iż u nadpływających zdaleka okrętów widać najpierw tak zwane „gniazdo bocianie”, czyli sam szczyt masztu, później ukazują się żagle, a później dopiero stopniowo, niby z głębin morskich toni, wynurzają się coraz niższe części okrętu, dopóki cały statek nie ukaże się na powierzchni Oceanu. Czy ty nie zauważyłeś tego nigdy, mój synu, gdyż w podróży swoich spotykał okręta na morzu?

— Ale i owszem, nawet bardzo często zauważyłem to, mój ojczec, tylko co prawda, nie zastanawiałem się nigdy dlaczego tak jest właśnie, że część najmniejszą a najwyższą, dostrzegamy pierw od całego okrętu, który przecież jest olbrzymem w porównaniu do bocianiego gniazda.

— A Kolumb właśnie to uważa za jeden z dowodów kulistości ziemi.

— Muszę poznać się z tym Krzysztofem Kolumbem! — żywo zawołał młodzieniec — i pozwól ojczec, że cię na chwilę opuszczę, aby to uczynić natychmiast.

— A w jaki sposób?

— W najprostszy i najwłaściwszy w podobnej okoliczności: pójdę i powiem mu, że ja Ludwik Bobadilla hrabia de Lhera, rycerz i grand hiszpański, pragnę się z nim poznać.

Zakonnik z udaną surowością pogroził młodzieńcowi!

— Nie jesteś pokornego ducha, mój synu! — rzekł, a uśmiechnąwszy się pobłaźliwie dodał: — każdy zwykły geograf, żeglarz lub rysownik map, uważałby za wielki zaszczyt znajomość z kastylijskim grandem, lecz Krzysztof Kolumb jestto mąż niepospolity, któremu twoje tytuły i dostojęstwa nie zaimponują bynajmniej, i gotówbym ręczyć, że zagadnięty w ten sposób odwróciłby się od ciebie, jakby od natrętnego ciekawca. Ot, idź i powiedz mu, że brat Pedro de Carascal chce z nim pomówić, a przyjdzie niezawodnie.

Tak się też stało.

— Cieszę się niewymownie, że was spotykam przy lepszym zdrowiu, zacny Kolumbie, i że razem uczestniczymy w obchodzie świętego zwycięstwa — przemówił zakonnik. — Pozwól dobry przyjacielu, abym ci przedstawił, mojego towarzysza, który bardzo pragnie cię poznać. Jestto don Ludwik Bobadilla zapalony miłośnik podróży morskich i siostrzeniec Beatriczy de Cabrera margrabinę de Moya.

— Dona Beatrica, nieraz bywała orędowniczką łaskawą moich zamiarów, którym sprzyja; jej krewny miłym mi jest odrazu — odpowiedział Kolumb. — A więc trudy i niebezpieczeństwa podróży morskich nie przestraszają cię, młodzieńcze?

Don Ludwik osłupiał. Jakto! ten ubogi cudzoziemiec, ten prosty sternik i rysownik śmie mówić mu *ty!* Ależ na podobną poufalość kastylijscy grandowie, tylko królom pozwalają zwykli! Wyprostował się dumnie i byłby gniewem za tę mniemaną obrazę wybuchnął, powstrzymało go jednak surowe spojrzenie zakonnika. Odpowiedział uprzejmie i spokojnie.

— Zwiedziłem już kawał świata. Byłem w Burgundyi, we Francyi, w Anglii. Tajemnicze cuda mórz bezbrzeżnych zaciekawiają mnie bardzo, a niebezpieczeństwa żeglugi nie trwożą mnie bynajmniej, zarówno jak walki z nieprzyjaciółmi mojej ojczyzny!

Pogodne spojrzenie Krzysztofa Kolumba spoczęło na urodziwym obliczu don Ludwika.

(d. c. n.)

OFIARY MODY.

Ludzie bywają nieraz bez litości: krzywdzą i wytępiają różne stworzenia nietylko dla rzeczywistej potrzeby, ale i dla potrzeb urojonych, z chwilowego często wpływających kaprysu. Do takich należy moda sprzymierzona z próżnością.

*) Wiara święta.

Pierwsza lepsza słynniejsza magazynierka paryzka umyśli sobie ptaszkami przybierać damskie kapelusze, i wnet wyrok śmierci pada na miliony niewinnych stworzeń zaludniających pola i lasy krajów południowych — a im który jaskrawszemi barwami się odznacza, tem pewniej śmierć na niego czyha. Cisza i pustka zalegają na czas jakiś przestrzenie, w których od rana do wieczora skrzydlata brzmiała orkiestra. Spustoszenie dochodzi łącznie do wielkich rozmiarów: w roku zaprzestłym Europa w samej Japonii obstałowała sto tysięcy ptaków, z których wszystkie były śpiewające. Gdyby ten sto tysięczny legion śpiewaków poległ w jakiej wielkiej bitwie, któraby sławę jego przekazała światu, w obronie gniazd zagrożonych naprzykład, śmierć taka byłaby nawet zaszczytną, ale wyginął marnie, częściowo, dla dogodzenia próżności elegantek... Co za barbarzyństwo! Jeżeli tyle ptaszków wyginęło w Japonii, ileż ich paść musiało na całym świecie — bo cały świat, owczym pędem wiedziony, naśladuje francuzów nietylko w tem co jest piękna, ale i w tem co brzydkie, byleby modnem było, narażając się tem na śmieszność przed samą Francją, która chociaż sama te przeróżne figle wymyśla, ale po cichu pewnie ze świata się śmieje. Gdyby chociaż owe noszone czas jakiś kapelusze z ptakami, jajkami i gniazdami ptasiemi były ładne, dziwactwo ludzkie możnaby do pewnego stopnia usprawiedliwić — ale pięknem przedewszystkiem jest to, co naturalne, a w naturze ptaki nie budują gniazd na głowach ludzkich, tylko na drzewach.

Jakiś czas była także moda na pióra zwane *marabout*, które przybierano kapelusze i okrycia damskie. Postrach padł wtedy na bociany zwane *Marabutami*, (po łacinie *Ciconia Marabout*,) mieszkające na Wschodzie, w Indyach, w Algierze; a chociaż ptaki te w krajach wymienionych szanowane są przez ludność i otoczone opieką rządu, myśliwi przebiegali nadwodne okolice i bagna, na których żyją najwięcej, i tępił je dla dogodzenia fantazyi mody, na której dobre zarabiali pieniądze.

Marabut zwany także „filozofem,” urodą poszczycić się nie może. Na cienkich, wysokich nogach wygląda dość niezgrabnie, a wzrost jego dochodzi czasem do pięciu i sześciu stóp wysokości. Pióra wierzchnie ma czarne, lśniące, a piersi białe, co tak wygląda, jakby miał czarny atlasowy płaszcz narzucony na białą kamizelkę. Dziób jego jest wielki, ciężki, a szyja prawie goła i opatrzona u dołu workiem; trzyma ją zwykle schowaną między ramiona, jakby dla ukrycia szpetoty. Ową cenną, do ozdoby okryć damskich poszukiwaną zdobyczą, są pióra podogonowe tych ptaków, u samców śnieżno białe, u samic popielatawe i nieco mniej w handlu cenione. Mają też pod skrzydłami pióra białe, długie, nadzwyczaj lekkie, i te właśnie służą do przybrania kapeluszy.

Marabuty żywią się drobnymi zwierzętami ssąciami, rybami, gadami a najwięcej robactwem, które wytępiają zawzięcie i padliną — i ta to właśnie przyczyna sprawiła, że są jedne z najużyteczniejszych ptaków. W gorącym klimacie wszelka padlina prędkiej się rozkłada, a nieuprzęta natychmiast, zarażałaby powietrze; marabuty zatem pełniąc z własnej chęci obowiązki uprzętaczy, chronią ludność od zarazy. Dla tego też w Indyach za zabicie tego ptaka rząd ustanowił 9 gwinei kary.

Marabuty przebywające w bliskości miast i osad ludzkich, oswajają się bardzo łatwo. Wolnym, poważnym krokiem przechadzają się po ulicach i podwórzach domów, zbierając nieczystości i odpadki pokarmów, a żarłoczność ich jest tak wielka, że połykają chęciwie całe kości, nie zważając na ich wielkość. Przetęk mają tak obszerny, że kota nawet bez trudności przełkną.

Marabut jest blizkim krewnym naszego hociana, należy zatem do rodzaju ptaków brodzących, do rzędu szcudłatych.

Zofia Urbanowska.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
Tak na nich i jabłek i gruszek;
Podpórki dziewczątka z podwórka przynoszą,
Gdzie struże dziadulo staruszek.
Gdy spojrzę na dziadka jak z niemi się bawi,
Jak zawsze szczęśliwy jednak,
To cichą modlitwą żrenica się łzawi,
O! Boże, daj starość mi taką.

Na polu omglonem jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza w około, a gąsior gdzieś gęga,
I ziemia już tylko a płoty;
Po drodze to wózek podróżny zadudni,
To bydlę się przemknie u rowu;
To żóraw wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu.
Brat w małym ogródku motyką coś kopie,
Dziadulo wciąż struże i struże,
Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
A klekot odbija podwórze.

T. L.

OLBRZYMIE DRZEWO.

Ameryka, to kraj olbrzymów; ma on bowiem najpotężniejsze rzeki, wodospady, najrozleglejsze stepy, najdłuższe pasma gór, największe lasy.

Wśród tych ostatnich wyrasta wspaniała washingtonia gigantea, która słusznie mogłaby rościć pretensje do godności królowej roślin.

Ojczyzną jej, kalifornijskie góry Newada. Na stokach tych wyniosłości, o 1660 m. nad poziomem oceanu, naturalista angielski Lebb, odkrył washingtonię i zwrócił na nią uwagę całego uczonego świata.

Drzewo to należy, wraz z afrykańskim baobabem do najbardziej długowiecznych; z obliczenia ilości słojuw na jednym z powalonych egzemplarzy, przekonano się, że wiek jego wynosił z górą 4000 lat. Największy okaz mierzył 180 metrów wysokości i 18 metrów średnicy. (metr 2,29 stóp).

Z olbrzyma tego zdarto korę całkowicie do 7 metrów nad poziom gruntu i przesłano ją na wystawę do San Francisco; tam zaś urządzono z niej obszerny pokój, w którym, prócz pianina mieściło się swobodnie 40 osób.

Niedawno ścięto drugie takie drzewo, z kory którego zbudowano wieżycę na 16 m. 60 wysokoą.

Washingtonie rosną grupami, ciągnąciami się na przestrzeni 3-ch kilometrów, na zachodnim stoku Sierry Newady. Rysunek nasz wyobraża jedno z tych drzew, przebitych na wylot, celem ułatwienia komunikacji; wysokość jego wynosi 103 m. średnicy 9 m.

Na nieszczęście amerykanie nie oszczędzają wcale tych wspaniałych dzieł przyrody; w ostatnich czasach liczba washingtonii zmniejszyła się niepospolicie; wkrótce zostanie kilka zaledwie tych drzew, które nie mają sobie równych pod względem wzrostu, w całym świecie.

BUMERANG.

Ze wspomnień australskiego kolonisty
opowiedział **Bohdan.**

(Dokończenie).

Jakoż, w samej rzeczy, dokoła dymiących jeszcze ognisk nie było żywej duszy; liczne ślady dowodziły jednak, że przed godziną najdalej znajdowali się w tem miejscu ludzie.

— To czarni — rzekł ojciec, wskazując na zwęgloną do połowy głowę jakiegoś węża, która wystawała z popiołu; nasi nie wzięliby do ust takiego specyału. Patrzcie, tu znów głowa wielkiej naszej jaszczurki, obok śladu nogi z długimi palcami.

— Dzicy! — powtórzył z przestraczem Michał; — więc oni mogą nas napaść?!

Ojciec uśmiechnął się.

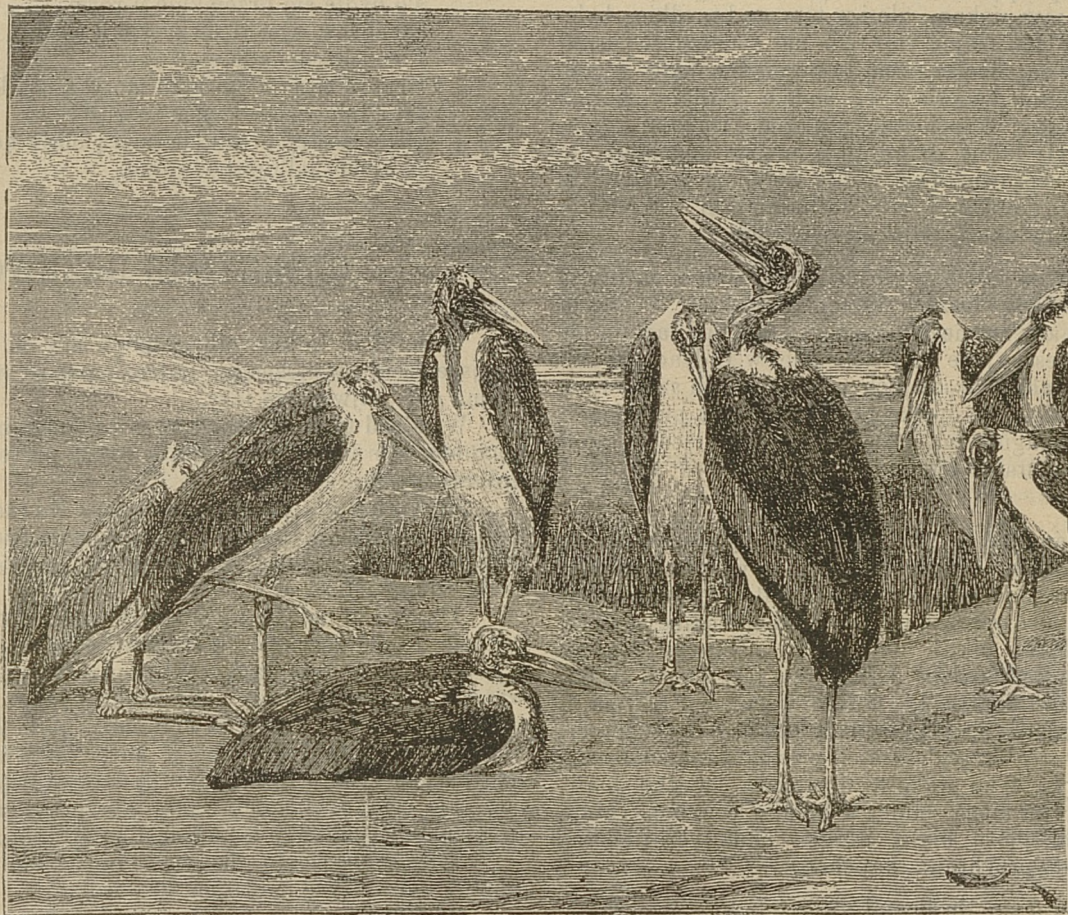
— Widzę, że nie grzeszysz nadmiarem odwagi; lecz

— Ale, pamięta ojczulek, oni zranili mu przecie parobka!

— I bardzo słusznie; stawali wtedy w obronie swego własnego życia; nie można brać im tego za złe.

— A czy zaczepiliby nas, gdybyśmy ich tutaj spotkali?

— Wątpię. W każdym razie — dodał ojciec po chwili namysłu — postaramy się zobaczyć, dokąd dążą ci biedacy. Obawiam się, czy za cel podróży nie obrali naszej kolonii. Dżems i Will nie zdołaliby się im opędzić; straciłbym



MARABUTY.

uspokój się, tutejsi krajowcy, pomimo swej dzikości, nie są bardzo wojowniczego usposobienia względem Europejczyków.

Pozostała ich dość mała zaledwie garstka; biedacy ci, prześladowani przez kolonistów za szkody, jakich się dopuszczają na fermach, są godni litości, unikają też białych jak ognia. Niedosć, że zagarnęliśmy im ziemię, wytępiłi zwierzynę, z której żyli, ale chcemy jeszcze zabronić im oddychania tem samem powietrzem co i my.

— To bardzo brzydko! — zawołał oburzony Michał.

— Zgadnam się z tobą, mój chłopcze; Europejczycy postępują bardzo nieszlachetnie; wcale nie pochwalam tych nikczemnych obław, które np. urządził na nich w przeszłym roku nasz sąsiad, Kucks, za to, że zabili mu kilka owiec.

kilkanaście sztuk owiec, a nadto przykroby mi było, gdyby moi ludzie wyrządzili im jaką krzywdę. Pokażemy im się z daleka, żeby wiedzieli, iż czuwamy nad fermą. Sądząc ze śladów, banda składa się z pięciu osób: z dwóch kobiet i trzech mężczyzn, z których jeden nie ma więcej nad kilkanaście lat.

— To znaczy, że ten mały dziki jest w moim wieku — rzekł Michał. — Ciekawym — dodał ze śmiechem — czy i on się uczy czegoś i czy, podobnie jak my, musi składać egzamin przed swym ojcem.

— Ależ ma się rozumieć, mój chłopcze. Pomiedzy wychowaniem, jakie ty odbierasz a wychowaniem jego, istnieje wszakże wielka różnica: ty np. uczysz się geografii, twój zaś dziki rówieśnik uczy się orientować w lesie i wśród gór;



OLBRZYMIĘ DRZEWO. (*Washingtonia gigantea*).

czarni nie znają liczb i z trudnością mogą oznaczyć ilość, przechodzącą 5 jednostek; język ich jest nadzwyczaj prosty i pierwotny; przewyższają nas za to znajomością przyrody żywej i znajomością rozmaitych środków, służących im do zaspokojenia ich pierwotnych potrzeb. Wiadomo ci przecie, iż wynaleźli oni humerang, niezmiernie dowcipną broń, której mechanizmu nie potrafimy sobie wytłómaczyć. Widzieliście go, jestto kawałek drzewa, zgięty łukowato, płaski i zgięty na podobieństwo dwóch skrzydeł wiatraka; broń ta posiada

tę własność, iż powraca do nóg myśliwego, który ją wyrzucił.

— Wyobrażam sobie, jak trudno jej używać — wtrąciłem — prawdopodobnie młodzi australczycy długo muszą się uczyć tej sztuki.

— Jeżeli jesteście ciekawi mogą wam zrobić podobne widowisko; dzicy nie odeszli daleko; dogonimy ich i zażądamy, żeby w naszej obecności użyli swej ciekawej broni.

Projekt ojca przyjęliśmy z radością. Michał, klasnąwszy

w ręce, popędził cwałem śladami bosych nóg, wyciśniętymi wyraźnie na wilgotnej ziemi. Ja z ojcem podążyliśmy za nim.

Przypuszczenie nasze sprawdziło się; nie ubiegliśmy bowiem jednego kilometra, gdy nad brzegiem jeziora ukazała się naszym oczom gromadka czarnych.

Zwolniliśmy trochę jazdy, żeby ich nie przestraszyć; ojciec wyciągnął z kieszeni chustkę i powiewał nią, na znak pokojowych zamiarów.

Biedacy, dostrzegłszy nas, rozsypali się w mgnieniu oka po sąsiednich krzakach; butelka z wódką, którą mój ojciec podnosił w górę, wywołała ich wszakże z ukrycia.

Najprzód pojawił się przewodca gromadki, któremu przyjrzałem się z ciekawością; poraz pierwszy bowiem od czasu pobytu mego w Australii, wydarzyła mi się sposobność widzieć prawdziwego dzikiego z bronią.

Spotykaliśmy ich już w Adelaidzie i w innych miastach, podczas podróży na kolonię; ale byli to albo starcy, trudniący się handlem skórami, albo młodzi chłopcy, których wzięto do posług domowych. Nie wyglądali oni wcale zajmująco: brudni, chudzi, z ogromnymi, popłataniem kędzierzawymi czuprynami, z potatowanymi twarzami, pijani, budzili we mnie wstręt. Chłopcy czynili wrażenie dużych małp, które oglądaliśmy z ojcem w ogrodzie zoologicznym w Sydney.

Mężczyzna, którego mieliśmy przed oczyma, przedstawiał prawdziwy typ krajowca, zbliżony do tych, jakie spotykałem niejednokrotnie na kartkach książek, opisujących podróże po Australii i dźwigał on na sobie cały swój rynsztunek bojowy; trzymał się w postawie obronnej, wysunawszy głowę z poza dużej tarczy skórzanej, mierzył nas nieufnie swymi czarnymi, świecącymi oczyma, zauważyłem natychmiast jego bumerang, wiszący na rzemieniu u pasa.

Kilka przyjaznych gestów z naszej strony ośmieliło go znać, gdyż złożył na ziemi swój puklerz i dzidę, poczem zbliżywszy się parę kroków, wyciągnął łakomie rękę po manierkę, którą mu podawał ojciec.

— A gdzie inni? — zagadnął Michaś, oglądając się dookoła.

Dziki zrozumiał widocznie, o co chodziło, gdyż podniósł w górę swą dzidę. Na ten znak z krzaków wypęły dwie kobiety, obładowane rozmaitemi sprzętami, i z poza pnia sąsiedniego eukaliptusa ukazała się kędzierzawa głowa młodego dzikiego.

Ojciec przemówił kilka słów, chcąc upewnić krajowców o swem przyjacielskiem usposobieniu; ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, mężczyzna odpowiedział po angielsku, choć, co prawda, poprzekręcane niemiłosiernie wyrazami, których szyk pozostawiał wiele do życzenia. Pomagając sobie gestami, można było rozmówić się z dzikiem jako tako; ojciec wyraził mu swe życzenie zobaczenia rzutu bumerangu.

Zamiast odpowiedzi, dziki pochwyił broń, i świsnąwszy przeraźliwie, wyrzucił ją w powietrze.

Śledziliśmy ciekawie ruch drewna; z początku leciało ono tuż ponad ziemią, kręcąc się szybko; poczem, przebiegłszy jakie 80 kroków, powoli jęło się wznosić, wracać, aż wreszcie, po upływie kilkunastu sekund, upadło tuż u nóg dzikiego.

— Brawo! — zawołał ojciec.

— Ależ to cudowna broń! — wykrzyknął z zapałem Michaś.

I zeskoczywszy z konia, podniósł bumerang, chcąc naśladować krajowca.

Pomimo kilkakrotnych wysiłków, nie udało mu się jednak wypuścić jak należy bumerangu; broń przebiegła co prawda, sporą przestrzeń, ale nie wracała wcale.

Ja i ojciec próbowaliśmy także, lecz równie bezskutecznie.

— No, teraz niech mały pokaże, co umie! — rzekł ojciec wskazując na chłopca.

Na skinienie naszego czarnego mistrza, młody australczyk poskoczył jak sprężyna i wyszczerzywszy białe zęby z zadowolenia, wziął do ręki bumerang.

Właśnie miał go wyrzucić, gdy nagle z zarośli wypadł

dziki, któregośmy dotąd nie spostrzegli, i z żywymi gestami zbliżył się do towarzyszy.

Chwilkę szwargotali coś pomiędzy sobą, poczem, jakby zelektryzowani podskoczyli do góry, i pozostawiając tarcze pod opieką swych kobiet, wdrapali się na pobliskie drzewo z prawdziwie małą zręcznością.

— Cóż to ma znaczyć? — szepnął Michaś.

Odpowiedź sama się nastąpiła. Dzicy siedząc na najwyższych gałęziach, wpatrywali się z natężoną uwagą w grupę niedaleko rosnących krzewów, które, wyraźnie się poruszały; po chwili z zarośli wynurzyły się trzy długie, czarniawe szyje, zupełnie podobne do węzowych.

— To nie węże — rzekłem, dostrzegłszy, iż owe głowy były zaopatrzone w dzioby.

— Tylko co? — zagadnął ojciec.

— To jakieś ptaki.

— Kazuary — wtrącił Michaś cichutko — i podchodzą tutaj; zapewne chcą napić się wody z jeziora.

— Będzie polowańko; zdaje mi się, że dzicy nie wypuszczą takiej grubej zwierzyny.

Jak przewidziałem, tak się stało; obaj krajowcy bowiem zeskoczyli z obserwacyjnego stanowiska i ostrożnie przyczołgali się do nas, prosząc, abyśmy zsiadli z koni. Ma się rozumieć, że chętnie uczyniliśmy zadość ich żądaniu; niebawem ukryliśmy się wszyscy doskonale w krzakach, skąd było widać cały stok pagórka i zbliżające się wolno kazuary.

— Poczekajcie, namówię ich, żeby pozwolili popisać się temu malcowi — rzekł ojciec. — Będziecie mieli sposobność przekonać się o jego wprawie.

Rzecz ułożono natychmiast; pełna butelka wódki i garść tytoniu przewyciężyły niechęć starego krajowca, wziął on swój bumerang i wręczył go malcowi.

Przygotowania do polowania były niezwykle; obaj dzicy z dźwiganych przez kobiety tobołków, wyciągnęli skóry zdjęte z dawniej zabitych kazuarów i szybko narzucili je sobie na plecy; lewą rękę każdy z nich umieścił w szyi, w prawą zaś wziął bumerang i po chwili ujrzelśmy przed sobą dwa duże ptaki, poruszające głowami, schylające się do trawy, jednym słowem, do złudzenia naśladowujące zachowanie się żywych.

Tak przebrani czarni, wyszli z ukrywających nas zarośli i powoli poczęli się zbliżać do nieprzeczuwających podejścia kazuarów.

Śledziliśmy każdy ich ruch, zaciekawieni rezultatem tego oryginalnego polowania.

Niebawem zdradzieckie kazuary znalazły się o sto kroków zaledwie od swych ofiar; właśnie chciałem trącić łokciem Michaśa, gdy wtem usłyszałem świst bumeranga.

Młody krajowiec, zrzuciwszy z siebie nagle przebranie, wyprostował się i z zamachem wypuścił broń do najbliższego ptaka.

Przekonał się jednak, że cios był źle obliczony; bumerang bowiem, zamiast uderzyć w cel, począł się wznosić i niedosięgnawszy go, upadł o kilkanaście kroków od niezręcznego myśliwca. Drugi dziki wyrzucił także swoją broń, lecz spłoszone ptaki zdołały jej uniknąć i po chwili znikły w krzakach.

Spojrzelśmy na stojącego obok nas murzyna. Był on jakby zawstydzony i wybelkotał parę niezrozumiałych słów, poczem, porwawszy swą lancę, rzucił się jak tygrys naprzód; kilkunastoma olbrzymimi skokami dopadł schylającego się po bumerang chłopaka i nim zdołaliśmy krzyknąć, wymierzył mu straszliwy cios w plecy.

— Mój Boże, on go zabije! — krzyknął z płaczem Michaś, biegnąc naprzód — ojcze, nie pozwól na to!

Poskoczyliśmy obaj na ratunek młodego australczyka; ojciec, wzięwszy strzelbę za koniec lufy, uderzył kolbą w plecy starego murzyna, i potężnym uderzeniem pięści odepchnął go na bok.

— Łotrze, coś mu zrobił! — krzyknął, wskazując na leżącego malca.

Dziki nic nie odpowiedział; podniósł upuszczoną lancę i z najzimniejszą krwią począł ją ocierać w trawie.

Ukląkłem nad nieszczęśliwym chłopcem; miał rękę przeszytą na wylot ostrzem dzidy i jęczał żałośnie. Podniosłem go; poprosiwszy ojca o wódkę, wlałem jej parę kropel w usta rannego, poczem, sporządzonym na prędce bandażem, przewiązałem krwawiącą rękę.

Michał pomagał mi w tem. Kiedyśmy skończyli opatrunek i obejrzeni się dokoła, dzikich już nie było. Korzystając z naszego zajęcia się chłopakiem, znikli bez śladu w gęstych zaroślach.

Ojciec nasz powrócił, prowadząc konie za uzdy, chciał on schwytać okrutnego murzyna, lecz daremnie; cała gromadka uszła, zabierając ze sobą wódkę i tytoń, przeznaczone na nagrodę dla biednego chłopca.

Zbytecznym byłoby dodawać, iż zabraliśmy ze sobą ранego i pielęgnowaliśmy go na wyścigi, póki nie przyszedł do zdrowia. Dziś, gdy to piszę, jest on naszym kolegą, uczy się wraz z nami w gimnazjum w Adelajdzie, i zdając zawsze egzamina celująco, opowiada wesoło o pierwszym, który składał z władania bumerangiem przed swym okrutnym ojcem.

Co do Józia, to ten, dowiedziawszy się o sposobie wykładów i wymierzania kar u dzikich, czyni zadawalniające postępy w naukach, i przy każdej sposobności wyraża zadowolenie, że urodził się dzieckiem europejczyka, a nie zaś czarnego australczyka; przyznaje przytem otwarcie, że kara na jaką zasłużył za niezłożenie pierwszego egzaminu, była żartem w porównaniu z tą, jaką musiał wycierpieć jego czarny kolega.

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

— Stillo! — zawołał, myśląc może, że go uwięziona usłyszysz, że mu odpowiedzieć będzie mogła.

Ze dwadzieścia razy może, rzucił w powietrze ten okrzyk, powtórzony przez wszystkie echa górskie.

Nagle przed oczyma jego coś błysnęło. Światelko jakieś przesuwało się wśród mroków, światelko nawet dość żywe, którego ognisko znajdować się musiało na pewnej nad ziemią wysokości.

— A zatem tam zamek być musi, tam! — powtarzał.

W istocie, sądząc z położenia zajmowanego przez owo światelko, nie mogło ono pochodzić skądinąd jak z baszty środkowej

Franciszek znajdował się pod wpływem tak silnego rozdrażnienia, iż ani na chwilę nie wątpił, że to Stilla tę pomoc mu zsyła. Bezwątpienia poznać go musiała, w tej samej chwili kiedy on ją spostrzegł na platformie baszty. I teraz też ona dawała mu ten sygnał, ona wskazywała mu drogę, którą iść potrzeba aby się dostać do furtki...

Zwrócił się więc Franciszek ku światłu, którego blask wzrastał w miarę, jak się zbliżał do niego. Ponieważ za nadto zboczył na lewo ku krawędzi płaskowzgórza, teraz więc musiał wziąć się na prawo i uszedłszy z jakie dwadzieścia kroków, znalazł się znowu na szczycie wału.

Teraz już światelko błyszczało tuż nawprost niego, a wysokość na jakiej się znajdowało, dowodziła, że pochodzi z jednego z okien baszty.

Miał się więc znaleźć Franciszek wobec ostatniej już przeszkody — kto wie? Nieprzewyciężonej może!

I w rzeczy samej, skoro furtka jest zamkniętą, most zwiedzionym, będzie musiał zsunąć się z wału aż na dno fosy. A potem? Co zrobi potem gdy się znajdzie u stóp muru, wznoszącego się ponad jego głową ścianą na pięćdziesiąt stóp wysoka?

Franciszek poszedł do miejsca, o które się opierał most i zastał furtkę otwartą.

Zwodzony most zastał spuszczone!

Nie dając sobie nawet czasu do zastanowienia się nad przyczyną tak nieoczekiwanego wypadku, Franciszek przebiegł chwytając się pod jego nogami pomost, i rękę na klamce położył.

Furtkę zastał otwartą.

Rzucił się pod ciemne sklepienie bramy, ale zaledwie kilka uszedł kroków, gdy usłyszał jak z trzaskiem i zgrzytem podniósł się most zwodzony i...

Herabia Franciszek Telek więźniem był w tajemniczym zamczysku!

XIII.

Mieszkańcy kraju siedmiogrodzkiego oraz podróżni przebywający wąwóz Wulkanu z zewnętrznego tylko pozoru sądzić mogą o starem zamczysku. Zabobonna obawa jaką wzbudza w najodważniejszych nawet mieszkańcach Werstu i wsi okolicznych, trzyma ich w takiej od murów odległości, że widzieć tylko mogą ich ogrom, przedstawiający całość w postaci malowniczej i jeszcze imponującej ruiny.

Czy jednak zamek był zniszczonym wewnątrz, tak jak to przypuszczali wszyscy prawie? Bynajmniej. Grube mury oparły się niszczącemu działaniu czasu, a nienaruszone jeszcze budowle starej warowni średniowiecznej, mogły we wnętrzu swoim całe wojsko pomieścić!

Rozległe izby sklepione, głębokie lochy, niezliczone korytarze, podwórce których kamienne posadzki nikły pod wyrastającą w szparach trawą, podziemne kryjówki, do których nigdy nie dochodziło światło słońca, schody w grubości muru ślimakiem wspinające się góry — kazamaty biorące światło przez wąskie strzelnice muru obwodowego; — trzypiętrowa baszta środkowa, zawierająca w swem wnętrzu kilka mieszkalnych komnat a zakończona platformą, którą otaczał mur zębaty, nieskończenie długie korytarzyki kapryśnymi skrętami wijące się pomiędzy częściami, które składały ten gmach ogromny, to sięgające wierzchołka baszt, to znowu zstępujące aż pod fundamenta tego kolosu, tu i owdzie cysterny, gdzie zbierały się wody deszczowe, których nadmiar ulewał się i spływał do potoku Nyad; długie wreszcie tunele, nie zasypane, jak to sobie mylnie wyobrażano, wyprowadzające na drogę przez wąwóz Wulkanu — takim był cały obszar starego zamczyska, którego plan niemniej pewno przedstać wiało za wiłości od ptaków labiryntu Posejdy, albo tych, które się w Lemnos i na wyspie Krecie znajdowały.

Jak Tezeusza, puszczającego się na odszukanie córki Minosa, tak i młodzieńca silne i pocziwe uczucie prowadziło przez nieskończone zakręty otwierającej się przed nim drogi. Czy i on także znajdzie owę nić Aryadny, według której kierował się bohater grecki?

Franciszek jedną tylko miał myśl: dostać się poza obręb muru zewnętrznego — i to mu się udało. Powinien był może zastanowić się nad tem, że most zazwyczaj podniesiony, dziś spuszczonej został, jakby umyślnie dla tego, żeby jemu przejście ułatwić? Powinien był może niepokoić się tem, że tak nagle zatrzasnęła się za nim furtka? Nie myślał jednak o tem. Znajduje się już w zamczysku gdzie uwięziona jest Stilla i gotów wiele poświęcić, aby ją oswobodzić.

Galeryę, w którą zapuścił się Franciszek, szeroką, wyniosłą sklepioną, zalegała w tej chwili ciemność nieprzenikniona, a w kamiennej posadzce znajdowało się pełno szczerb, które nie pozwalały iść naprzód pewnym i śmiałym krokiem.

Franciszek przysnął się do ściany po lewej stronie i szedł już dalej opierając się ciągle ręką o kamienną jej powierzchnię powleczonej saletrą, której kryształki kruszyły się pod dotknięciem. Cisza tu panowała tak zupełna, że nie słyszał nic, prócz odgłosu własnych kroków, odzywających się niezmiernie dalekim echem. Ciepły prąd powietrza, silnie trącającego stęchlizną, przeciągał galeryę, wiejąc z za zapleców Franciszka, widoczną więc było rzeczą, że przed nim, na końcu galeryi znajdować się musi wyjście.

Minąłszy filar kamienny, występujący ku środkowi ga-

leryi od strony lewej, znalazł się u wejścia korytarza tak znacznie od galeryi węższego, że wyciągnawszy ramiona, z obu stron ściany mógł dotknąć.

Całem ciałem naprzód podany, szedł Franciszek ciągle naprzód, ręką i nogą macając przed sobą w ciemności, dla przekonania się czy korytarz idzie w prostym kierunku. O jakie dwieście kroków od owego filaru, stojącego po lewej stronie, uczuł raptem, że korytarz zawraca na lewo, a o jakie pięćdziesiąt kroków jeszcze, w kierunku zupełnie przeciwnym poprzedniemu. Co to miało znaczyć? Czyżby korytarz zawracał do muru obwodowego, prowadząc do miejsca, skąd wychodził?

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Poeta, Franciszek Coppée, proszony, by przemówił na zakończenie roku szkolnego w jednym z liceów paryskich, temi słowy mowę swoją zakończył: „Pozwólcie mi rzec kilka wyrazów współczucia chłopcu, którego znam dobrze, bo niegdyś bratnio byłem do niego podobnym, chłopcu—który nagrody nie dostanie.

Stoi tam, zamysłony, smutny trochę, bo rodzice jego, jakkolwiek pobłażliwi i kochający; skrzywią się przeciw trochę. Ale ja, w duszy jego czytając, wiem, że nie gości w niej żadne nieszlachetne uczucie. Za chwilę, gdy zasłużonych od niego współuczniów wieńczyć będziemy, on z całych sił i szczerze przyklaskiwać im będzie. Może nawet łączy go ze szczęśliwszym kolegą jedna z tych szczerych, czystych, bezinteresownych przyjaźni, które w młodzieńczym tylko wieku zawartemi być mogą, powabem są jego i zaszczytem, i zmianie nie podlegają nigdy. Wobec więc powodzenia, jakie przyjaciela spotyka, uczeń nie biorący nagrody, radość tylko i dumę uczuje.

Chłopcze drogi, nie zapomnij nigdy o tej przepięknej życia godzinie, będącej godziną szlachetnych i wzniosłych umiesień! Niedługo mężczyzną już będziesz. Rzucony w świat, który twardą jest szkołą, ujrzyś się otoczonym zaciętem współzawodnictwem—walką, litości nie znającą. Pracuj, toruj sobie drogę, idź do celów, do których prawo masz dążyć. Ale strzeż się zazdrości, która chorobą jest czasów naszych, nie pozwalaj, by ci jadem swym zatręła serce. Ten, którego razi zasługa drugich, szczęście cudze, tak nikczemnym jest i tak nieszczęśliwym!

Pielęgnuj w sobie poszanowanie prawdziwej wyższości, zdolność wielbienia, bo słodszej nad tę niema. Jednym słowem, nie ztrać w sobie nigdy tych uczciwych instynktów chłopięcych, któremi powodowany, przyklaskujesz dzisiaj słusznie wynagrodzonym współuczniom, a jakkolwiek los przypadnie ci w udziale zawsze będziesz dobrym obywatelem i człowiekiem uczciwym”.

S Z A R A D A.
E. M.

W pierwszym, jedna część mowy stanowi litera;
Skrajem wąskim drugie nas czasem obejmuje,
Razem drzewo, którego sok życie odbiera
Kiedy mściwy Indyanin strzałę nim zatruje.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Józio dla Kozaka Sawy.

Z następujących sylab: Ra — zes — zwin — kam — ko — bi — czy — gli — kand — zo — stwosz — sar — a — tra — ro — fal — ster — o — gar — flo — kor — do — vi — tez — la — dius — oo — u — ko — ra — on — mon — nia — bal — bo — te — a — zu — van — da — ry — o — ma — yar — ułożyć 15 wyrazów z następującem znaczeniem: 1. Król Medów i Persów. 2. Słynny ród książąt siedmiogrodzkich. 3. Pierwszy szwajcarski reformator. 4. Stolica Turkestanu. 5. Znakomity rzeźbiarz, umarł w Norymberdze roku 1533. 6. Perski prawodawca. 7. Przylądek sławny bitwą w r. 1805. 8. Pierwszy wicekonsul na Hispanioli. 9. Półwysep Ameryki północnej. 10. Zdobywca Meksyku. 11. Poeta rzymski zmarły w 17 po Chryst. 12. Mityczna postać z wojny trojańskiej, wstawiona rzeźbą. 13. Muza, opiekunka astronomii. 14. Ostatni król Meksyku. 15. Żeglarz hiszp. który oceanowi wielkiemu dał nazwę spokojnego. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół, powinny utworzyć imię i nazwisko słynnego żeglarza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-gc.

Homonimu: P o l a n k a.

Niteczki Aryadny:

Gdyć język złośliwy do obmowy nęci,
Miej boską naukę zawsze na pamięci;
Nie szukaj źdźbła w oku twojego bliźniego,
Raczej wyjm belkę pierw ze swego własnego.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Do ziemi nieznaney p. Halię Tokarzewską (z drzew.) — Ofiary mody p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Olbrzymie drzewo (z drzew.) Jesień, wiersz. — Bumerang, ze wspomnień australskiego kolonisty, opowiedział Bohdan (dokończenie). — Tajemniczy zamek. — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Przed czasem, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Pasorzyty p. Cio-cię Rózię. — Renia i Henio p. Niezapominajkę. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie, przekład T. P.

WIECZORY RODZINNE.



PRZED CZASEM.

Od Babci dla Julka.

Julek niezły jest chłopczyzna:
Myje, czesze się bez sprzeczeki,
Składać głoski już zaczyna,
Pisze kółka i laseczki,
Lecz figielkom dusza rada,
Niech sposobność tylko zoczy!
Odszedł dziadzio: Julek skoczy,
Okulary wnet nakłada
I czapeczkę dziadzi starą;
Chciałby fajki... szuka... ale
Gdzieś cybucha niema wcale,
Więc w paluszki wziął cygaro,
I z poważną niby miną
Do czytania się zabiera:
Dziadzio wraca: — „Ej! chłopczyño,
Toć swawoli chęćka szczera
W buzi twojej!... Ha! masz prawo
Życie jeszcze znać zabawą.
Nim przeminie wiek twój złoty,
Nim nad książką przyjdzie praca,
Niech w rodzinnych uczuć cnoty
Młode serce się zbogaca.
Dom swój kochać, siwej głowie
Cześć okazać ucz się, dziecię,

I czić prawdę w każdym słowie,
Nim z ksiąg dowiesz się o świecie,
Nim zdobędziesz wiedzę w trudzie,
Jako starsi czynią ludzie.”

T. P.

PASORZYTNY.

— Moja ciociu, co to jest pasorzyt?—pytała Mania.

— Pasorzyt, to zwierzątko lub roślina, która żyje w innym lub na innym zwierzęciu, albo też na innej roślinie — odpowiedziała ciocia. — Znamy więc pasorzyty roślinne i pasorzyty zwierzęce. Dziś lub jutro pójdziemy na spacer do lasu i może znajdziemy tam jemiołę, roślinę, która żywi się sokami drzew liściastych; gdy nasienie jej upadnie w zagłębienie kory, wypuszcza tam ono mały korzonek który wciska się w miążgę drzewa, ztamtąd pije potrzebne do życia soki roślinne i rozwija się w roślinkę z cienkimi gałązkami i liśćmi, które i w zimie z nich nie opadają. Po liściach ukazują się drobne, białe kwiatki a po nich owoc mały, który wiele ptaków zajada ze smakiem, a pestki owocu rozrzuca po drzewach i w ten sposób jemioła rozrasta się w około, nieraz na samym szczycie drzewa. Widzisz więc Maniu, że jemioła korzysta z gotowych soków roślinnych drzewa, na którym rośnie, a zatem drzewo karmić musi nie tylko siebie ale i swego ciągłego gościa, który je pozbawia pewnej części pokarmu

— Rozumiem, ciociu, a na zwierzętach jakie rosną pasorzyty?

— Pasorzytów zwierzęcych jest bardzo wiele, więcej daleko niżeli roślinnych, chociaż i tych znamy około tysiąca gatunków. Zwykle pasorzyty zwierzęce żyją wewnątrz swych gospodarzy, słyszałaś pewno o trychinach, które zabijają człowieka. Otóż trychiny są to małe robaki żyjące w wieprzowym mięsie, ludzie połknąć je mogą wraz z kawałkami surowej szynki, te robaki rozwijają się w ludzkim ciele i mogą człowieka życia pozbawić.

— Ciociu!—zawołała przestraszona Mania—a przecież my wszyscy od czasu do czasu jadamy szynkę.

— Nie bój się, Maniu -- uspokajała ciocia dziewczynkę — szynka ugotowana nie jest szkodliwą, robaki giną w niej od gorąca, zresztą trychiny, na szczęście, rzadko się pojawiają. Lecz oprócz nich różne są jeszcze pasorzyty żyjące w ciałach owiec, szczurów, na skórze ptaków, w skrzelałach rybich, wszystkie te zwierzątka nie mają wcale oczów, ani nóg, po większej części są to robaki, albo też maleńkie skorupiaki. Pamiętaj też Maniu, że ludzi silnych i zdrowych, którzy sami nic nie robiąc, żyją z cudzej pracy, zowią także pasorzytami.

Ciocia Różia.

RENIA i HENIO.

Renia miała lat ośm i mieszkała z rodzicami na wsi. Była dobrą, grzeczną dziewczynką, uczyła się bardzo dobrze, jedną tylko miała wadę: była roztrzepaną; nigdy nie wiedziała, gdzie co położyła, nie słyszała co do niej mówiono, często gdy tatuś posłał ją do swego pokoju po gazetę, Renia przynosiła mu papierosy.

— Reniu, idź do salonu i przynieś mi tę dużą książkę — mówiła jej raz mama. — Tylko weź świecę i idź uważnie, bo podłoga świeżo zaciągnięta, możesz się pośliznąć.

Ale Renia nie słyszy już, co mama mówi, z pośpiechem wybiega do sali i w minutę słycać trzask szkła stłuczonego i krzyk Reni, która pośliznąwszy się, chwyciła się stolika i przewróciła go na siebie.

— Ach Reniu, jakże jesteś roztrzepaną, nie mogę w niczem wyręczyć się tobą — rzekła mama, okładając zimną wodą stłuczone czoło Reni.

— Mamuniu kochana, to już raz ostatni — mówiła dziewczynka, całując ręce matki, teraz będę tak uważną, że... i naraz zeskoczyła z ławeczki, na której stała nie zważając, że kompres z czoła zleciał na ziemię, i pobiegła za kotem Mruczkiem.

— Mruczuś, Mruczuś, kici, kici — woła Renia, lecz staje nagle zawstydzona bardzo, przypomniawszy sobie, że przed chwilą przyrzekała mamie być tak uważną i zaraz o tem zapomniała.

— Ach matusiu, jaka ja niedobra — zawołała biegnąc do matki, która nie łajała już Reni, gdyż widziała, że dziewczynka szczerze żałuje swej nieuwagi.

Do końca zresztą tego dnia, Renia uważała bardzo na siebie, mama uściskała ją za to serdecznie na dobranoc i rzekła:

— Za to, że starałaś się dzisiaj być uważną dziewczynką, powiem ci bardzo wesołą nowinę.

— Co takiego mamuniu, może gdzie jutro pojedziemy? — zawołała Renia.

— Nie, tylko jutro przyjedzie do nas na całe lato ciocia Bronia ze swoim synkiem — rzekła mama, Renia aż podskoczyła z radości na łóżeczku.

— Ach mateczko, jak to dobrze, jeszcze nie znam wcale synka cioci Broni. A jakie on ma imię? Duży on też jest, matusiu? — pytała Renia, a mama powiedziała jej, że temu chłopczykowi na imię Henio, że ma lat dziewięć, i będzie się z nią bawił.

Całą noc Reni śniło się o cioci i o Heniu, rano zaledwie się przebudziła, zapytała zaraz:

— Nie przyjechała jeszcze ciocia Bronia?

— Jeszcze nie, ale zapewne niedługo przyjedzie, wstań więc Broniu, żeby cię zastała już ubraną — odpowiedziała mama, a Renia zerwała się prędko z łóżeczka.

Gdy ciocia Bronia zajechała, dziewczynka siedziała już na ganku ubrana i uczesana ładnie.

W godzinę później, dzieci zapoznawszy się już dobrze, biegały sobie po ogrodzie, bawiły się wyśmienicie. Wtem Henio błądzący przybiegł do swej towarzyski.

— Co ci jest Heniu — zapytała dziewczynka.

— Rozbójnicy są w ogrodzie — wyszeptał chłopczyk — uciekajmy, bo nas zabiją!

— Zdawało ci się zapewne — rzekła Renia — gdzie ich widziałeś?

— Tam niedaleko szli, jeden z nich miał taki kij okropny, uciekajmy, bo ja się bardzo boję — zawołał Henio i już chciał uciekać, gdy Renia rzekła:

— Schowaj się lepiej na drzewo, będziemy stamtąd widzieli gdzie pójdą.

I Renia zapomniawszy zupełnie, że mama nie pozwala jej chodzić po drzewach, bo to nie jest stosowne dla dziewczynki, pierwsza skoczyła do wielkiego drzewa, rosnące nad stawem, w minutkę dzieci siedziały cichuteńko na najwyższej gałęzi.

— E, zdawało ci się pewnie — rzekła wreszcie Renia, gdy jej się naprzykrzyło siedzieć na drzewie — zejźmy lepiej na dół.

— Ale widziałem ich napewno! tak okropnie wyglądali — odrzekł Henio i nagle zbladł, gdyż z pomiędzy drzew wyszli ci, o których mówił; jednak Renia, chociaż dziewczynka, była odważniejszą od swego towarzysza i przypatrzwszy się bliżej tym rozbójnikom, rozśmiała się z tchórzliwego Henia, który trząśł się cały ze strachu. Żeby Renia była uważniejszą i czyniła wszystko z namysłem, byłaby uspokoiła chłopczyka, wytłomaczywszy mu, że ci ludzie nie są wcale rozbójnikami, że ona ich zna dobrze, jeden był to bowiem ogrodnik, a drugi chłopak do pomocy, trzymał on dużą tykę do obłamywania suchych gałęzi. Jednak Renia jak zwykle roztrzepana, schwyciła nagle Henia i krzyknęła żartem:

— Rozbójnik cię złapie! — Henio wystraszony stracił równowagę i pociągnawszy za sobą dziewczynkę wpadł w staw. Woda była głęboka, byłyby się dzieci z pewnością utopiły, ale ogrodnik usłyszał krzyk i plusk, przybył więc śpiesznie z pomocą. Jakżeż się ciocia Bronia i mama Reni przeraziły zobaczywszy ogrodnika, niosącego bezprzytomne dzieci. Posłano natychmiast do miasta po doktora i zajęto się trzeźwieniem małych topielców. Ocknęli się niezadługo, lecz nie na tem był koniec, gdyż Renia i Henio z przeziębienia i przestradchu dostali silnej gorączki i cały tydzień przeleżeli w łóżkach, zażywając niesmaczne lekarstwo. Gdy przyszli wreszcie do zdrowia, postanowili sobie, że Renia będzie oduczala bojaźliwości swego towarzysza, a Henio w zamian będzie się starał aby Renia pozbywszy się roztrzepania, została uważną i roztropną dziewczynką.

Niezapomniujka.

Przygody Iskierki, Perełki i Brylancika.

(Dalszy ciąg).

— Dzieci! podwieczorek na stole! — dał się słyszeć głos nianki z ganku.

Jakóbek ostróżnie zatrzymał huśtawkę i pobiegł z siostrzyczką ku domowi.

— Nie mów nic o kotkach, dopóki tatuś nie wróci—

szeptnął jej do ucha, gdy oboje stanęli na ganku i otrzepywali buciki z kurzu.

— Dlaczego? — spytała zdziwiona Zosia myśląc, że pewnie nie potrafi zamilczeć przed matką o tem, co ją tak bardzo zajmowało.

— Dlatego — tłumaczył Jakóbek — że jeśli mama nie pozwoli, to i tatuś także nie przystanie na nasze prośby, tatuś zawsze godzi się z mamą we wszystkim.

To powiedziawszy, nacisnął ostrożnie klamkę i otworzył drzwi do pokoju, w którym matka leżała na szezłagu z książką w ręku. Zobaczywszy wchodzące dzieci odłożyła książkę i uśmiechnęła się do nich pieszczotliwie.

— No, cóżeście porabiali przez całe poobiedzie — spytała łagodnie. — Jakże się mają wasze kocięta?

Zosia zarumieniła się i z przerażeniem spojrzała na brata. Bała się wygadać z czemś, coby mu się nie podobalo, a taką miała ochotę wyznać mateczce swoje obawy i nadzieje. Jakóbek milczał także przez chwilę, namyślając się co ma zrobić.

— Nie, nic nie powiem póki tatuś nie przyjdzie — powiedział wreszcie sam do siebie, a głośno rzekł:

— Kotki nasze są zdrowe. Ach mateczko! — dodał zapominając o swoich postanowieniach — jakie one śliczne!

Matka rozśmiała się.

— Dla ciebie, mój Jakóbkku, wszystkie koty są śliczne. No, ale nie mówmy o tem więcej — dodała spostrzegłszy, że Zosi na płacz się zbiera. — idźcie teraz na podwieczorek a potem przeczytamy razem jaką ładną powiastkę.

Dzieci prędko wypily mleko i przy podwieczorku zachowywały się tak spokojnie, że niania zapytała z uśmiechem, czy nie zbroily co złego w ogrodzie. Pytanie to zawsze gniewało Jakóbka, wtedy szczególnie gdy miał czyste sumienie

— Niech Zosia weźmie robotę — powiedziała matka, gdy dzieci powróciły do jej pokoju—a Jakóbek przeczyta nam głośno pierwszy rozdział. Usiądź przy mnie, Jakóbkku, muszę patrzeć w książkę czy nie przekręcasz wyrazów.

— Czy to ciekawa powiastka? — spytał Jakóbek biorąc książkę. Chłopczyk zaczął czytać, ale jąkał się, nie uważał, bo ani na chwilę nie mógł zapomnieć o kociętach. Nareszcie usłyszał odgłos kroków ojca wracającego do domu.

— Tatuś wrócił!—zawołał głośno, rzucił książkę na kolana matki i wybiegł do przedpokoju. Zosia pobięła za nim.

— Niech tatuś się nachyli, powiem tatusiowi coś do uszka—zawołała Zosia, zaledwie ojciec zdążył zamknąć drzwi wchodowe.—Mamy interes do tatusia.

— Tak, mamy bardzo ważny interes—dorzucił Jakóbek.—Musimy zaraz rozmówić się z tatusiem. Ojciec nie schylił się ale wziął na ręce córeczkę, chcąc się dowiedzieć tej ważnej tajemnicy. Zosia była ciężka, to też ojciec usiadł wkrótce, wtedy Jakóbek wszedł mu także na kolana i oboje coś długo szeptali z ożywieniem. Rozmowa skończyła się wreszcie, ojciec wziął jedno i drugie za rękę i wszedł z nimi do pokoju matki.

— Maryniu — rzekł z uśmiechem — zgodziłem się na prośbę Jakóbka i Zosi; pozwoliłem im zatrzymać wszystkie kocięta.

— Ach! mój drogi! odrzekła matka — jakże mogłeś przystać na to? Niepodobna trzymać w domu tyle kotów!

— Niech się mateczka nie gniewa! — prosiła Zosia, błagalnie składając ręce. — Już my oboje z Jakóbkiem postaramy się o to, aby znaleźć dla nich dobre miejsce.

— I mateczka nie będzie miała z nimi żadnego kłopotu. Nikt nie będzie miał z nimi kłopotu — nalegał Jakóbek.

— Pozwól już, Maryniu — dodał ojciec. — Za parę tygodni odbędzie się bazar urządzony na cel dobroczynny. Zabiorę z sobą Zosię i Jakóbka i będą mogli sprzedać tam kocięta, które tymczasem podrosną.

— Doskonale! doskonale! — zawołał Jakóbek.

— Doskonale! — powtórzyła za nim Zosia.

— A cóż zrobimy z pieniędzmi? — jednocześnie spytały uszczęśliwione dzieci.

— Pieniądze oddamy na Szpitalik dziecięcy — odpowiedziała matka. — Tylko pod tym warunkiem pozwolę wam chować kocięta.

Dzieci nie posiadając się z radości, podbiegły do matki i okrywały jej ręce pocałunkami. Potem Jakóbek wybiegł z pokoju, zapomniawszy nawet zamknąć drzwi za sobą i po chwili powrócił, niosąc na ręku wszystkie kocięta. Koło niego biegła stara Milutka miauczac żałośnie. Rozpromieniony Jakóbek złożył kocięta na kolanach ojca i rozpoczęła się ogólna narada, jakieby imiona wybrać dla małych wychowańców. Po długim wahanii dzieci zgodziły się wreszcie na następujące nazwy: Iskierka, Perełka i Brylancik.

II.

OLBRZYME TRUDNOŚCI.

Ale teraz oto czekał je nowy kłopot: trzeba było jeszcze zdecydować się, które z kociąt nazwać Iskierką, które Perełką a które Brylancikiem, długo też i żywo spierały się o to dzieci, siedząc w ogrodzie w ulubionej altance.

Nie mogąc same rozstrzygnąć tak ważnego pytania, postanowiły wreszcie zasięgnąć zdania rodziców. Moręgowata kotka musi się nazywać Iskierką, bo ma gdzieniegdzie rudawe jakby ogniste włoski... Ale jakże nazwać czarną koteczkę? Perełką czy Brylancikiem?... Jakóbek wiedział, że bywają czarne perły, ale ojciec mówi, że dyamentów czarnych nie brak na świecie, a gdy Zosia dziwiła się temu, zaprowadził ją do kuchni i pokazał węgiel kamienny. Przytem zarówno czarne jak i bure kociątko miało prawo do obu tych nazw, z powodu ślicznych białych plamek na brzuszkach. Jakże tu rozstrzygnąć tak trudne pytanie?

Zniecierpliwiony Jakóbek, który w ogóle nie lubił nad czemkolwiek zastanawiać się długo, oświadczył wreszcie, że najlepiej będzie zostawić wybór na los szczęścia. Napisał więc na jednej kartce papieru „Perełka”, na drugiej „Brylancik”, zwinął obie kartki w rurkę i pobiegł z Zosią do matki.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

— Mamo! mamoo! — wołał już w progę, którą kartkę dać mamie, z prawej czy z lewej ręki?

— Przedewszystkiem nie krzycz tak głośno, mój Jakóbku! — napomniała matka, którą przestraszył głos chłopca.

— O moja mateczko! proszę wybierać! — błagał Jakóbek. — Czarne kociątko dostanie to imię, które mama wybierze. To taka ważna rzecz...

— Naprawdę? — spytała matka uśmiechając się. — Dajże mi to, co trzymasz w prawej ręce.

— Brylancik! Brylancik! — zawołał Jakóbek rozwijając kartkę. — Słyszysz, Zosiu?... No, teraz nie potrzebujemy się o nic kłopotać.

Bazar miał się odbyć dopiero za sześć tygodni. Przez ten czas kocięta chowały się zdrowo i szczęśliwie a dzieci nie mogły nacieszyć się ich rozumem. Co bo też to za mądre były stworzonka!

Od chwili jak otworzyły oczki, swawoliły wciąż i wyprawiały różne pocieszne figle. Co wieczór, jak tylko ojciec powrócił do domu, Jakóbek i Zosia opowiadali mu na wyjściu o dowodach rozumu swych małych wychowańców, aż wreszcie ojciec oświadczył, że za takie mądre kocięta można będzie wziąć przynajmniej po pół rubla, a matka przyrzekła, że w dzień bazaru zawiąże każdemu z nich wstążeczkę na szyi.

Nowy kłopot dla dzieci. W jakim kolorze będzie któremu kotkowi najładniej? Tym razem ojciec doradził aby wybrać wstążeczkę białą, czerwoną i niebieską, na co dzieci zgodziły się z radością.

Było to w letniej porze; Jakóbek i Zosia mieli wakacje, mogli więc bez przeszkody bawić się i zajmować kociętami. Rano biegli do nich natychmiast po śniadaniu; wieczorem nie zapomnieli nigdy powiedzieć im dobranoc. Bardzo, bardzo byli szczęśliwi... jedyną przykrość sprawiała im myśl, że wkrótce trzeba będzie się rozstać z temi ślicznymi figlarnemi zwierzątkami.

Zosia szczególnie wzdychała często ukradkiem i mówiła, że chciałaby aby ten dzień nigdy nie nadszedł; Jakóbek myślał wprawdzie to samo, ale wstydział się przyznać do tego głośno i tłómaczył siostrzyczce, że takie pragnienie jest bardzo nierozsądnem, bo czas wciąż ubiega i każdy dzień prędzej lub później nadejść musi.

(d. c. n.)

SZARADA.

Wnet poznać pierwsze moje
W każdym mieście dużem, małym;
Gdzie kupiec nazwisko swoje
Wypisuje pismem trwałem.
Zwierzę będzie moja druga,
Żywi się też owadami,
Oczkami na nas nie mruga
Bo nie dojrzącie ich sami.
Wszystko, to twarde pokrycie
Gadu całkiem niewinne;
Z wyrobów jego stroicie
Części ubrania swojego.

. Zapelnic kropki literami, aby
. rząd pierwszy oraz pierwsze li-
. tery utworzyły nazwę jednej części
. świata. Znaczenie wyrazów w dal-
. szych rzędach: 2. Najdawniejsza stolica
. Egiptu. 3. Miasto na Węgrzech, gdzie są
. najpiękniejsze winnice. 4. Przylądek w Hi-
mek. 7. Samogłotka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37-go.

Szarady: Ali — na.

Łamigłówki sylabowej:

1. Teneriffa. 2. Ud. 3. Londyn. 4. Iu. 5. Ptak.
6. Ale. 7. Nas.

Tulipan — Sekunda.

Skrzynka do listów.

Miłą nam sprawiła niespodziankę odezwa Żabki nad-obrzańskiej, która od tak dawna umilkła. Obietnicy prosimy dotrzymać; Redakcja jest wymagająca, ale cenić umie pracę i pocziwą tendencję. „Branki w jasyrze” drukowane w Wieczorach, były streszczeniem powieści Deotymy i nie wyszły w osobnej odbitce; powieść zaś, która za wzór nam służyła jest dość rzeczywiście drogą na „chudą panieńską kieszeń”; kosztuje bowiem rs. 6. bez przesyłki.

Fel. Libr. nadesłał nam, dobre rozwiązania łamigłówki i rebusu, szarada zaś miała inne znaczenia.

Przyjaciółce mamy polecamy jako kurs niższy, geografie: Jeskiego lub Czarkowskiego jako kurs wyższy, „Rys geografii” Nałkowskiego.

Z powodu nieobecności naszej w Warszawie odbierzesz spóźnioną odpowiedź, kochana Miernoto. Zachęcamy cię do pracy, o którą zapytujesz. Życzenie zaś twoje spełnione zostanie niezadługo.

Jak to rodzone siostry różnią się często w zdaniu! Ty, Kingo, zachwycasz się Zakopanem, a twojej siostrze nie podobało się wcale. Nic mi nie donosiłaś, żeś była chora; żal mi cię tem serdeczniej, że cię ominęły wycieczki. Na Gubałówce jednak być musiałaś, to najłatwiejszy spacer i dla osłabionych nawet dostępny. Rozpoczęcie nauk opóźnione w tym roku, jak ci zapewne wiadomo, dotąd więc jestem wolna; sama tylko potroszę się uczyć, aby sobie ułatwić czekający mnie w tym roku kurs szkolny. Nie przeszkadza mi to grywać w krokieta, który lubię, również jak i ty Lobelio. Gołąbka zdrowa, dziękuję ci za pamięć o niej; nie mówi teraz o niczem tylko o wystawie łódzkiej, na którą jeździła. Zachwycona kwiatami, ale ja ostudzam jej zapał dowodząc, że daleko wspanialszy widok przedstawiać musi ów kaktus kalifornijski, który jedzie na wystawę do Chicago a dosięga 70 stóp wysokości. Gołąbka na to odpowie — „tobie zawsze figle w głowie” — ale ja jednak sobie myślę, że tam będzie nie mało rzeczy godnych widzenia. Brunetce za przysłane mi kwiaty serdecznie dziękuję, mam nadzieję, że uda mi się ułożyć z nich ładny bukiet. Gdy skończę, doniosę wam, jak wygląda moja robota, a teraz pozdrawiam was serdecznie.

Jaskółka.